

Miller, Stanisław

Okupacja sowiecka i niemiecka Bielska Podlaskiego oczami Stanisława Millera

"Bielski Almanach Historyczny", 1, 2016, s. 135-145

Zdigitalizowano w ramach projektu pn. Budowa platformy "Podlaskie Czasopisma Regionalne", dofinansowanego z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (umowa SONB/SP/465121/2020).



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



Udostępniono do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Okupacja sowiecka i niemiecka Bielska Podlaskiego oczami Stanisława Millera⁵²⁴

Okupacja sowiecka

Wojska sowieckie wkroczyły do Bielska w drugiej połowie września 1939 roku. Witali je komuniści, członkowie Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi oraz Żydzi. Spotkanie odbyło się na ulicy Mickiewicza, róg ul. Widowskiej, gdzie zbudowano bramę triumfalną i Sowietów witano kwiatami.



*Stanisław Miller
w mundurze harcerskim*

Ja, żołnierzy sowieckich, pilnujących wraków wysadzonych przez Niemców czołgów, zobaczyłem następnego dnia na łące obok ul. Orlicz-Dreszera, koło torów kolejowych. Wrzenie zrobili niemiłe: ubrani byli w długie szare płaszcze wojskowe, u dołu niezaobrubione, na głowach mieli szare sukienne spiczaste czapki z czerwoną gwiazdą na przodzie.

W mieście zaczęła działać administracja sowiecka, taka jak: „gorsowiet”, „sielsowiet”, zorganizowano szkoły „dziesięciolatki” rosyjskie i jedną polską. Cała młodzież poszła do klas o rok niżej, czyli uczniów z klas szóstych i pierwszych gimnazjalnych przeniesiono do piątych. Naszą szkołę polską przeniesiono do budynku szkoły podstawowej przy ul. 11 Listopa-

da, a następnie do budynku przy ul. Mickiewicza, róg ul. Widowskiej i nadano jej imię Józefa Stalina⁵²⁵. Przed budynkiem na cokole postawiono wysoki pomnik Stalina. W szkole uczyli nauczyciele przedwojenni oraz przybyli z Rosji.

Budynek byłego gimnazjum i liceum im. T. Kościuszki został zamieniony na dziesięciolatkę rosyjską, budynek szkoły powszechnej przy ul. Księcia Józefa Poniatowskiego na siedmiolatkę białoruską.

⁵²⁴ Stanisław Miller (1926-2009) – porucznik AK, harcmistrz, inspektor finansowy, społeczny skarbnik w Komitecie organizacji zjazdów absolwentów Gimnazjum i Liceum im. T. Kościuszki w Bielsku Podlaskim.

We wspomnieniach p. S. Millera sprostowano oczywiste pomyłki autora, w niewielkim stopniu ingerowano w styl. Całość opatrzone przypisami redakcyjnymi.

⁵²⁵ Władze radzieckie na zajętych terenach wprowadziły strukturę oświatową wzorowaną na ZSRR i nakazały cofnięcie młodzieży szkolnej o jedną klasę niżej, propagandowo motywując to wyższym poziomem szkół sowieckich w porównaniu ze szkołami polskimi.

W mieście rozlokowano duże oddziały wojska i NKWD. Żydzi wysprzedali resztki towarów ze swych sklepów, a Sowieci otworzyli swoje państwowe sklepy, w których poza solą, kaszą i chlebem nic nie było. Czasami w sklepach był cukier i cukierki landrynki lub karmelki, ale wtedy tworzyły się ogromne kolejki. Czasami wiadomość o ich sprzedaży docierała o dzień wcześniej, to wtedy kolejka tworzyła się już w nocy. Polskie pieniądze były nieważne – wprowadzono ruble i kopiejki.

Mama nie miała pracy, ale z czegoś trzeba było żyć. Mieszkaliśmy na ulicy 11 Listopada, naprzeciwko był budynek dawnego gimnazjum, w którym Sowieci



Uszkodzony przez Niemców pomnik Lenina w Bielsku Podl., lipiec 1941 r. (fot. ze zbiorów Bundesarchiv w Koblencji)

utworzyli dziesięciolatkę rosyjską. Uczyła się tu przeważnie młodzież z okolicznych wsi prawosławnych, białoruskich. Mama odnajęła pokój trzem uczniom pochodzącym ze wsi Cieluski. Płacili za mieszkanie w naturze: drewnem opałowym, torfem, ziemniakami, mąką, kaszą jaglaną, słoniną i mięsem.

Zima roku 1939/1940 była ostra i śnieżna, mrozy przekraczały -30°C . Właśnie w styczniu 1940 roku przyjechały do Bielska wojskowe samochody wraz z oficerami i żołnierzami niemieckimi, by ekshumować ciała żołnierzy, którzy zginęli w walkach [z żołnierzami polskimi] w 1939 roku. Byli oni pochowani obok kościoła pokarmelickiego oraz koło wsi Piliki, na terenie budowanego przez Sowieców dużego lotniska wojskowego. Samochody te jeździły po całym

mieście. Jak się później okazało, ustalały one [także] ważniejsze obiekty wojskowe i w czerwcu 1941 roku, w pierwszym dniu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, obiekty te o godz. 3 rano zostały ostrzelane przez Niemców i częściowo zniszczone.

W 1940 roku mama dostała pracę sekretarki, w biurze w „Raj-Prom-Kombinatu”, ponieważ bardzo dobrze знаła język rosyjski, jeszcze z Kijowa, gdzie skończyła średnią szkołę. Wtedy polepszyło się nasze zaopatrzenie – przedsiębiorstwo prowadziło dla pracowników sklep zakładowy, w którym były artykuły spożywcze i przemysłowe.

Ja nie chodziłem do szkoły, gdyż stale zapadałem na zapalenie oskrzeli i lekarz zalecił, by przerwać naukę. W budynku, w którym mieszkaliśmy, drugą

połowę zajmowała rodzina policjanta⁵²⁶, który nie wrócił po ewakuacji na wschód Polski. Byli to państwo Bosy, rodzina składała się z matki i dwóch synów, Antosia i Henia. W styczniu czy lutym zbudził nas płacz za ścianą. Była godzina 12 w nocy. Okazało się, że przyszedł tam żołnierz NKWD, kazali się im ubrać i zabrać najpotrzebniejsze rzeczy i po godzinie czy dwóch wyprowadzili na ulicę. Tam stały już sanie i powieźli ich na stację, gdzie były przyszykowane wagony towarowe. Słyszałem, że w 1946 roku rodzina ta wróciła z Syberii i zamieszkała w Zielonej Górze.

Gdy Sowieci zabrali rzeczy pozostałe po p. Bosych, zamieniliśmy mieszkania, bo ich było od południa, cieplejsze. Ponieważ nie chodziłem do szkoły, gotowałem obiady, tak jak umiałem, według wskazówek mamy. Uznano, że zamienione mieszkanie było dla nas dwojga za duże, dokwaterowano więc nam do jednego pokoju dwie pielęgniarki sowieckie, które pracowały w szpitalu. Pochodziły z Bobrujska. Byłe nasze mieszkanie zajął oficer sowiecki, Żyd, kapitan artylerii, z żoną też Żydówką i córeczką Emmą. Kapitan nazywał się Lipowski, imienia nie pamiętam. Po kilku miesiącach został przeniesiony do Rosji. Mieszkanie po nim przejął oficer w stopniu lejtnanta, [który przyjechał] również z żoną. Byli oni Rosjanami.

W nocy z 21 na 22 czerwca 1941 roku, o godzinie 3 rano, obudziły nas silne wybuchy. Ubraliśmy się i wyszliśmy na podwórko, byli tam już nasi sąsiedzi, mieszkający w sąsiednim budynku, p. Jerzykowscy. Ranek był pogodny. Wyszedł też i nasz lejtnant. Na niebie pojawiły się klucze samolotów. Zrozumieliśmy, że to wojna. Nasz lejtnant zapalając nerwowo trzęsącą się ręką papierosa, mówił: „Eto maniwry”⁵²⁷. Po jakimś czasie lejtnant przyjechał samochodem ciężarowym razem z żołnierzami i zabrał żonę. Odjechał w pośpiechu, zostawiając rzeczy osobiste, a nawet dubeltówkę dwururkę.

My, z sąsiadami, poszliśmy za budynek gimnazjum, gdzie był duży kompleks sadów owocowych rodziny rejenta Ksepko⁵²⁸. Siedzieliśmy pod drzewami, obserwując klucze samolotów niemieckich, które leciały na Wschód, a wśród nich samoloty „Rama”⁵²⁹, które widzieliśmy pierwszy raz.

W nocy Sowieci podpalili bazę paliw „Nieftostroj”. Było tam kilka zbiorników po kilkadziesiąt tysięcy litrów benzyny do samolotów i pojazdów mechanicznych. Zbiorniki paliły się przez całą noc, a płomienie i dym sięgały do kilkunastu metrów w górę. Spalili tzw. „wojenny garadok” w Lesie Pilickim, wysadzili pasy startowe na lotnisku oraz magazyny żywnościowe w mieście i część miasta pomiędzy ulicami Mikołaja Kopernika i Księcia Józefa Poniatowskiego, w tym małą zabytkową cerkiewkę⁵³⁰. Wysadzili też budynek sztabu przy ul. Żwirki

⁵²⁶ Chodzi o policjanta Wojciecha Bosego, internowanego w 1939 roku na Litwie, więzionego w Kozielsku i innych sowieckich obozach, żołnierza Armii Andersa.

⁵²⁷ To manewry.

⁵²⁸ Władysław Ksepko – notariusz.

⁵²⁹ Focke-Wulf Fw 189 Uhu, „Rama” – niemiecki samolot rozpoznawczy z okresu II wojny światowej. Był to dwusilnikowy dolnopłat w rzadkim układzie dwubelkowym.

⁵³⁰ Cerkiew św. Mikołaja.

i Wigury – były budynek Urzędu Skarbowego. Wojska niemieckie wkroczyły do miasta 24 czerwca⁵³¹, a po sowietach nie było śladu.

Okupacja niemiecka

Pierwszego dnia poszedłem na pogorzelisko spalonego magazynu przy ul. Mickiewicza, obok cerkwi. W magazynie składowano duże ilości mydła. W czasie pożaru mydło się rozpuściło, tworząc na ziemi grubą warstwę, która zastygła. Wraz z innymi naciąłem bryłę mydła, które służyło nam przez kilka miesięcy⁵³².



Bielsk Podlaski, ul. Mickiewicza, 1942 rok

Niemcy po wkroczeniu utworzyli własną administrację: starostwo, urząd gminy, Arbeitsamt⁵³³, pocztę, policję, żandarmerię i gestapo oraz wiele innych. Żydzi musieli nosić żółte gwiazdy Dawida na piersi i plecach. Nie wolno im było chodzić chodnikiem, lecz ulicą. Musieli kłaniać się przechodzącym Niemcom. Otworzono szkoły powszechne, ale tylko klasy I-III. Ogłoszono przymus pracy powyżej czternastego roku życia.

Stryjek Wacław [Miller]⁵³⁴ otworzył zakład betoniarski, a Zbyszka [swego syna] i mnie zatrudnił fikcyjnie jako robotników. Przez jesień 1941 roku i zimę sprzedawaliśmy ze Zbyszkiem ruską machorkę, którą dostarczał nam stryjek. Ponieważ stryjek dłużej nie mógł nas zatrudniać, musieliśmy zgłosić się do Arbeitsamtu, a ten skierował nas do pracy w „Fermeser Biuro” – czyli do biura geodezyjnego. Pracowało tam kilkunastu chłopców. Ja trafiłem do byłego mierniczego Stanisława Bujnickiego. Wraz ze mną byli tam: Stefan Parfjanowicz oraz Stanisław Medyński – Polak z pochodzenia, który przyjechał z Odessy z żoną i pięcioletnią có-

⁵³¹ Auror wspomnień, z pamięci (omyłkowo) podał datę 23 czerwca, którą poprawiono zgodnie ze stanem faktycznym.

⁵³² Zdarzenie związane z tym mydłem zapamiętał także p. Seweryn Janusz Parfjanowicz: „*Rosjanie wycofując się spalili magazyny wojskowe w okolicy ul. Poniatowskiego. Po ich ucieczce ludzie zbierali stopione, zastygnięte już mydło. Jeden z próbujących odłupać fragment mydlanej tafli, przez nieuwagę wpadł w dół kloaczny, po spalonej ubikacji. Wystraszony, usmarowany nieczystościami, wyskoczył z dołu i biegiem ruszył w kierunku niedaleko przepływającej rzeki Lubki. Ktoś za nim krzyknął – „Weź pan mydło!”, na co pozostali wybuchli śmiechem*”.

⁵³³ Niemiecki urząd pracy.

⁵³⁴ Wacław Miller r. 1897, syn Józefa – stryj autora wspomnień. Posiadał firmę produkującą wyroby cementowe, przy ul. Słowackiego 3. Millerów: Wacława z żoną Ludwiką, a także ich synów: Tadeusza i Stefana Zbigniewa (r. 1925, żołnierz AK ps. „Rak”), sowietci od listopada 1944 do stycznia/lutego 1946 roku więzili w Ostaszkowie.

reczką. Za Sowietów pracował jako główny księgowy w „Raj-Prom-Kombinacie”, razem z moją mamą. Gdy Sowietci uciekali, nie ewakuował się razem z rodzinami sowieckimi, lecz pozostał w Bielsku. Zbyszka przydzielono do grupy mierniczego Goroszkiewicza⁵³⁵. Była jeszcze grupa mierniczego Wrzećcionki, ale nie pamiętam, kto w niej pracował. Robiliśmy pomiary wokół Bielska, do podkładów kartograficznych, szczególnie pod budujące się lotnisko, od drogi dubiażyńskiej w prawo, aż do szosy brańskiej, a także od południa, do gruntów wsi Piliki. Do pracy wychodziliśmy o 7 rano. Braliśmy ze sobą łatę, tyczki, taśmę mierniczą, aparat do pomiarów i szliśmy z nimi do miejsc wskazanych przez mierniczego. Pracę kończyliśmy o godzinie 17, bez względu na pogodę. Ja, bardzo często, z uwagi na to, że mieszkalem obok domu mierniczego oraz iż znały się nasze rodziny, jeździłem „damką”⁵³⁶ mierniczego do jego znajomych w okolicznych wsiach, u których dokonywał komasacji gruntów i wycinał grunty na kolonie⁵³⁷. Przywoziłem od nich ćwiartki cielęciny i samogonkę, a byli to rolnicy z kolonii obok wsi Dziecinne: Derehajło i Tyszkiewicz, z Bociek (nazwiska nie pamiętam) oraz ze wsi Chojewo (też nazwisk nie pamiętam, może Jakimiuk?). Praca w biurze geodezyjnym trwała do października 1942 roku.

Na początku listopada skierowano mnie do pracy w „Stifelfabrik” w Bielsku. Było to przedsiębiorstwo prywatne Niemca, nazywającego się Benz, które produkowało filce oraz buty filcowe dla armii niemieckiej. Właścicielem był trzydziestoletni młody Niemiec reklamowany od służby w wojsku, z uwagi na produkcję dla armii. Przedsiębiorstwo, oprócz wytwarzania, prowadziło skup wełny owczej oraz skór surowych cielęcych i wołowych. Pierwszego dnia pracy nie zapomnę nigdy, trafiłem bowiem na załadunek skór do wagonu. Były one surowe, przesypane solą, złożone w kostkę i każda ważyła ponad 20 kilogramów. Nie miałem odzieży ochronnej. Po kilku godzinach pracy byłem cały mokry.

Następnego dnia skierowano mnie do pracy przy produkcji filców zwanych „walonkami”⁵³⁸. Byłem palaczem w bardzo dużym pokoju z czterema paleniskami i wmurowanymi nad nimi kotłami oraz z dwoma rzędami drewnianych stołów, z blatami skośnie opadającymi do środka, połączonymi rynną odciekową z folowanych filców. Do wody dodawano kwas solny. Woda stale musiała być gorąca, aby waleonek uformowany z gręplowanej wełny owczej, w wyniku folowania, stał się filcem. Moja praca polegała na napełnianiu kotłów wodą, którą wyciągałem ze studni wiadrami dziennie około 150 razy. Studnia była odległa od budynku o około 50 metrów. Pod kotłami paliłem drewnem, które było już pocię-

⁵³⁵ Włodzimierz Goroszkiewicz, członek Komitetu Białoruskiego w Bielsku Podlaskim.

⁵³⁶ „Damka” – kobieca odmiana roweru, chętnie używana przez starszych mężczyzn.

⁵³⁷ W latach 20. i 30. XX wieku mierniczy w okolicach Bielska Podlaskiego wykonywał prace pomiarowe w wielu wsiach, co było związane ze skalaniem gruntów (komasacja).

⁵³⁸ Autor miał pewnie na myśli produkcję wojłoku z grubego filcu, z którego wyrabiano walonki, z rosyjskiego zwane też „walenki”. Walonki to ciepłe obuwie do połowy łydki lub do kolan, przepuszczające wodę, ale dobrze chroniące przed mrozem. Wojłok formowano z wielu warstw przy użyciu pary i gorącej wody. Bielsk Podlaski był znanym ośrodkiem produkcji waleonek już znacznie wcześniej.

te przez p. Falkowskiego. Musiałem je jednak rąbać i nosić pod kotły. Moja praca trwała od godziny 5 rano do 17. Woda musiała być już gorąca, gdy robotnicy przychodzili do pracy, a po zakończeniu przez nich pracy o godz. 15, kotły opróżniałem z wody i uzupełniałem świeżą. Stoły uprzątno z resztek odpadków wełny i myto. W kotłowni pracowałem do listopada 1943 roku. Kiedy zachorowałem na zapalenie płuc, niemiecki lekarz Peters zalecił, aby Arbeitsamt skierował mnie do lepszej pracy. Tak trafiłem na pocztę.



Pocztą w Bielsku Podlaskim przy ul. Mickiewicza, fot. z ok. 1930 roku

Na poczcie pracowało nas siedmiu Polaków: p. Zaleski⁵³⁹, który pracował przy okienku wydawania i przyjmowania korespondencji dla ludności polskiej oraz sprzedaży znaczków pocztowych, Edmund Skalski, Zygmunt „Zyme” Wójcicki – pomocnik kierowcy oraz młodzież: Henryk Drobnich⁵⁴⁰, Falborski⁵⁴¹, Łaźny⁵⁴² i ja. Poczta mieściła się w piętrowym budynku na rogu ulic Adama Mickiewicza i Księcia Józefa Poniatowskiego. Dom ten był własnością p. Żmieńki. Na parterze, z jednej strony budynku była przyjmowana i wydawana korespondencja od żołnierzy niemieckich i ludności polskiej przez Niemca o nazwisku Gotlib. Drugą stronę budynku przeznaczono na obsługę instytucji wyłącznie niemieckich i obsługiwali ją Niemcy, np. hitlerowiec o nazwisku Krips. Część budynku od podwórza zajmowała ekspedycja. Tu, przy jednym z biur, pracował prawdopodobnie Mazur o nazwisku Marbach, mówiący po polsku. Przy drugim biurku siedział Niemiec – Bawarczyk. Jego nazwiska już nie pamiętam. Połowę piętra budynku zajmował telegraf obsługiwany przez cztery Niemki. Drugą połowę piętra zajmował naczelnik poczty i jego zastępca, hitlerowiec.

⁵³⁹ Z ulicy Sportowej.

⁵⁴⁰ Henryk Drobnich.

⁵⁴¹ Roman Falborski, zamieszkały przy ul. Batorego. Zginął w 1945 roku jako żołnierz Wojska Polskiego.

⁵⁴² Władysław Łaźny.

W naszym pokoju ekspedycji, na jednej ze ścian, wisiała duża mapa Niemiec z podziałem na landy. Sortowaliśmy listy, przeważnie żołnierzy niemieckich, wysyłane do rodzin w Niemczech. Ponadto, między biurkami Niemców, stał stolik, na którym stemplowaliśmy wysyłane listy.

Poczta obejmowała swą działalnością teren powiatu bielskiego i prużańskiego⁵⁴³, z takimi miasteczkami jak: Suchopol i Szereszów. Z terenu tego powiatu codziennie przywożono setki paczek żywnościowych, wysyłanych do młodzieży wywiezionej przymusowo na roboty do Niemiec. Paczki były gromadzone w specjalnym budynku zbudowanym na peronie dworca, a następnie ładowane do pociągu pośpiesznego, nazywanego „Schnellzug Brest-Koenigsberg”, przyjeżdżającego do Bielska o godz. 22 i stojącego trzy minuty. Paczki były pakowane w woreczki z płótna lnianego, a adresy pisane ołówkiem chemicznym. Zawierały one przeważnie suchary, słoninę i często butelkę samogonu. Gdy pociąg stawał, codziennie z wózka wrzucaliśmy w otwarte drzwi wagonu pocztowego ponad 100 paczek i często, znajdujące się w nich butelki z wódką, tłukły się, ale na to nie mieliśmy wpływu, bo były tylko trzy minuty na załadunek. Wracaliśmy już w czasie godziny policyjnej, ale mieliśmy przepustki nocne. Na dworzec kolejowy woził nas niemiecki kierowca Fogiel, bardzo porządny człowiek, lub Niemiec Gotlib, który, gdy go poprosiliśmy, kupował za nasze pieniądze piwo w bufecie dworcowym, przeznaczonym wyłącznie dla Niemców. Przy okazji i on korzystał.



*Dworzec kolejowy w Bielsku Podlaskim.
Został zniszczony przez Niemców w lipcu 1944 roku*

Sortując przywiezione listy i stemplując listy wyjęte ze skrzynek pocztowych, wykorzystując nieuwagę i niczego niepodręczających siedzących obok Niemców, ja i p. Skalski wychwytywaliśmy listy bez nadawcy, adresowane do „szucpolicji” czy żandarmerii. Były to przeważnie anonimy opisujące miejsca

⁵⁴³ Autor podział na powiaty odnosi do sytuacji przedwojennej. W czasie okupacji niemieckiej, bielski i prużański połączono w jeden komisariat powiatowy Bielsk (Kreissskomissariat Bielsk).

pobytu partyzantów, współpracę z nimi, nielegalny ubój świń, mielenie mąki na żarnach itp. Takie listy przekazywaliśmy Karolowi Wójcikowi, który pracował w wywiadzie Armii Krajowej, a ten przekazywał je do dowództwa Obwodu AK.

Do Armii Krajowej wprowadził mnie Michał Wasilewski ps. „Gaj”, ze wsi Brześcianka. Przysięgę składałem w Łubinie Kościelnym, po sumie około godz. 14., w prywatnym budynku, dwa domy od szosy. Przysięgę odbierał Kazimierz Chłód ps. „Ryży-Szpała”, w obecności Michała Wasilewskiego, Franciszka Maślowskiego ps. „Sęp” i Stanisława Borowskiego ps. „Borsuk”. Otrzymałem pseudonim „Uparty”. Razem ze mną przysięgę składali dwaj moi koledzy: Bogdan Frydewicz⁵⁴⁴ i Aleksander Panasiuk⁵⁴⁵. Do Łubina dotarliśmy jednym rowerem, na przemian jadąc i idąc.

W czasie, gdy pracowałem w walonkarni, robotnicy, jadąc wczesnym rankiem 15 lipca 1943 roku powiedzieli mi, że słyszeli serie z karabinu maszynowego w „Osuszk”, który był częścią Lasu Pilickiego przylegającą do szosy. Robotnicy pracujący przy produkcji walonek byli ze wsi Piliki, Studziwody, Rajki i Kozły. Następnego dnia dowiedziałem się, że Niemcy rozstrzelali tam 50 osób, mieszkańców Bielska.

W czasie okupacji mieszkaliśmy przy ul. 11 Listopada, przemianowanej na „Schillerstrasse”. Połowę domu, w której poprzednio mieszkał oficer Armii Czerwonej, przydzielono Łapińskiemu. Był on osobistym kierowcą szefa „Arbeitsamtu”. Jego rodzina była czteroosobowa, on z żoną i dwie córki. Łapiński zażądał od mojej matki, aby mu odstąpiła jeden pokój, a gdy nie zgodziła się, interweniował u swego szefa. W wyniku tej interwencji matkę aresztowała „szucpolicja”. Gdy wróciłem z pracy, matki już nie było. Od p. Kolasińskich, porządnej wielodzietnej rodziny, składającej się z małżeństwa, dwóch synów i czterech córek, sąsiadów mieszkających obok naszego domu, dowiedziałem się o jej aresztowaniu. Pan Kolasiński był w tym czasie „szucmanem” w policji. W wyniku starań u znajomych Niemców, czynionych przez mojego stryjka Wacława, matkę wypuszczono, ale przymusowo zatrudniono w zakładzie jajczarskim wysyłającym jaja do Niemiec. Matka moja była szczupła i niskiego wzrostu. Praca, polegająca na sortowaniu prześwietlonych jaj w skrzynki po 360 i 720 sztuk i przenoszenie ich dalej, była ponad jej siły. Dobrą stroną tej pracy było to, że w specjalnie uszytych majtkach wynosiła do domu jajka, które gotowaliśmy lub smażyliśmy na mleku, bo brakowało tłuszczu.

Łapiński zaczął przychodzić pijany i urządzać awantury. Mieszkanie razem z nim w tym samym domu stało się bardzo przykre. Znajoma matki, znając naszą sytuację, zaproponowała, abyśmy zamieszkali u niej⁵⁴⁶. Pani Anna Borowska mieszkała razem z ojcem, emerytowanym policjantem, w jednorodzinny domu składającym się z czterech pokoi i kuchni. Nam odstąpiła jeden pokój. Jej ojciec trzymał kilka kóz, które pasł na pobliskich łąkach, stąd nazywano go „Kozim

⁵⁴⁴ Syn dyrektora elewatora.

⁵⁴⁵ Pochodził ze Studziwód.

⁵⁴⁶ W domu na rogu ul. Słowackiego i ul. Sportowej.

Tatą”. Ten człowiek nie był zadowolony z naszego zamieszkania u nich. Zachowywał się niezbyt uprzejmie. Mama postanowiła znaleźć inne mieszkanie.

Stryjek Wacław znalazł nam mieszkanie w dużej kuchni u swojego byłego robotnika, Mikołaja Tyniewickiego, przy ulicy Orzeszkowej. Po drugiej stronie ulicy były już tylko łąki. Tu mieszkaliśmy przez jesień i zimę. Ponieważ zbliżał się front, a niedaleko było duże lotnisko niemieckie, Niemcy pobliskie łąki wykorzystali jako skład beczek z benzyną. Wysiedlili wszystkich mieszkańców tej ulicy. Domy zajęło wojsko. Nam przydzielono mieszkanie u p. Kurków przy ulicy Słowackiego⁵⁴⁷. Gospodarze mieli pokój z kuchnią, my zaś tylko pokój. Drugi pokój przydzielono Marii Marczak, z zawodu nauczycielce, wdowie z małym synkiem. Podobno pochodziła z Sanoka. Tu mieszkaliśmy ponad miesiąc, potem całą dzielnicę zajęło wojsko niemieckie. Nam przydzielono pokój w centrum miasta, w budynku p. Pietrzykowskich, na pierwszym piętrze. W drugim pokoju zamieszkała p. Marczukowa.

Ktoregoś dnia, po południu, przyszedł Tadzik [Miller]⁵⁴⁸ i powiedział nam, że ojciec dobrowolnie podpisał volkslistę i żeby matka ze mną też podpisała. Byliśmy przerażeni, ale odmówiliśmy. Zaczął nas namawiać, dając przykład Konrada Wallenroda, mówiąc, że podobnie jak on, można udawać Niemców i jednocześnie im szkodzić. Nie wiemy, czym kierował się stryj Wacław [Miller] – miał zakład produkujący wyroby betonowe: dachówkę i kręgi, otrzymywał wagonowy przydział cementu, więc może zagrożono mu, że to starci, a może liczył na zbliżający się front i że nie będzie to miało znaczenia. W tym czasie, co jakiś czas wieczorem, nad miasto przylatywały sowieckie samoloty i zrzucały flary, które oświetlały wybrane części miasta.

W czasie całej okupacji niemieckiej stryjek Wacław dawał mnie i mamie codziennie obiady. Oboje pracowaliśmy do godziny 16-17, w przydzielonym nam pokoju mogliśmy korzystać jedynie ze wspólnej kuchni, a ponadto mieliśmy trudności z opałem. Stryjek wyroby ze swej betoniarni – dachówki, sprzedawał przeważnie na wieś, a rolnicy płacili żywnością. Ponadto w domu była ciocia Lusja, która nie pracowała oraz dziewczyna, którą stryjek zatrudnił celowo, aby ochronić ją przed wyjazdem do Prus. Dziewczyna pomagała cioci Lusi w pracach domowych, sprzątaniu i gotowaniu posiłków. Stryjek Wacław często sam gotował, bo bardzo to lubił, a gotował smacznie. Stryjek był bardzo gościnny. Prawie codziennie przychodziło do niego starsze małżeństwo Klimków na kolację. Czasami grali w karty, w „sześćdziesiąt sześć”, albo p. Klimko czytał rozdział książki „Ogniem i Mieczem”. Stryjek w tym czasie przyrządzał w kuchni potrawkę. Była to pokrojona w talarki kiełbasa i cebula podsmażona na miękko, połączona z sosem pomidorowym. Podawano ją na gorąco.

W wieku 16 lat nie miałem już ojca, a matka nie była w stanie wszystkiemu poradzić, więc męskie obowiązki wziąłem na siebie, szczególnie zaopatrzenie w opał. Podczas pierwszej okupacyjnej zimy mieliśmy zapas drewna z czasu, gdy

⁵⁴⁷ Na rogu ul. Słowackiego i ul. Krótkiej.

⁵⁴⁸ Tadeusz Miller r. 1920, to syn Wacława, stryja autora wspomnień.

matka pracowała w przedsiębiorstwie sowieckim, ale gdy się skończył, chodziłem za miasto z siekierą i workiem, ucinałem suche gałęzie ze starych wierzb, którymi był obsadzony szpital. Gdy zamieszkaliśmy w dzielnicy parkowej (gdzie i teraz mieszkamy), zaopatrzyłem się w drewno opałowe wyładowane z wagonów. Po południu drewna nikt nie pilnował. Gdy się zrobiło ciemno, udało mi się przenieść kilka dużych olchowych szczap 1,5 metrowych.

W połowie czerwca 1944 roku zbliżał się front, słychać już było dalekie odgłosy wystrzałów artylerii. Gdy któregoś dnia przyszedłem do pracy, Niemcy pakowali się, a pomieszczenia zajmowało wojsko z „Feldpost”, czyli z poczty polowej. Ulicą jechały konne tabory wojska. Kolegów, z którymi pracowałem, nie było. Zastępca naczelnika zaproponował mi żebym jechał z nimi do Niemiec, ale odmówiłem. Potem zaprowadził mnie na podwórko, pokazał na leżącą przyzmę węgla kamiennego i powiedział, że mogę go sobie zabrać. Nie miałem jednak czym przewieźć węgla ani gdzie go trzymać. Potem wróciliśmy do pokoju, gdzie leżały przesyłki nieodebrane przez firmy niemieckie: w jednej były guziki, w następnej torebki z jakimś proszkiem, jak się później okazało był to klej do tapet. Poszedłem do domu, matka już tam była, jej firma też się ewakuowała.

Niebawem przed domem zatrzymał się autobus wojskowy, przyjechał stryjek Waław. Powiedział, żeby zabrać najpotrzebniejsze rzeczy, gdyż całą rodzinę wywozi z Bielska na wieś. Autobus dostał od wojska, które kwaterowało w naszej dzielnicy i zajęło jego dom. Zabraliśmy pościel i część ubrań, które zapakowaliśmy w dywan oraz „główkę” maszyny do szycia. Zawieziono nas do Skrzypek Dużych, oddalonych 7 km od Bielska, gdzie zamieszkaliśmy u gospodarza Górskiego, w części wsi, która nazywała się „Zalipie”. Była to nieduża polska wieś szlachecka, składająca się z dwudziestu kilku gospodarstw. Dom gospodarzy był drewniany, stary i kryty słomą. Gospodarz p. Górski chorował i od dłuższego czasu był przykuty do łóżka. Gospodarstwem kierowała żona, przy pomocy dwóch synów, z których jeden był w moim wieku, a drugi starszy. Było jeszcze dwoje młodszych dzieci, chłopiec i dziewczynka. Stryjek, ciocia Lusia i moja mama zamieszkali w chacie, ja i Tadzik oraz dwaj starsi chłopcy spaliliśmy w stodole na słomie. Zbyszek od maja był w oddziale partyzanckim AK. Razem z nami przebywali u tego samego gospodarza jeszcze Adam Śpiechowicz i Jurek Romaszkan⁵⁴⁹ z Bielska. W Skrzypkach schroniło się jeszcze kilka rodzin z Bielska, wśród których byli nasi znajomi.

Front zbliżał się, codziennie słychać było daleki odgłos kanonad oraz widać dym palących się wsi. Przez dwa tygodnie Niemcy utrzymali się na północ od miasta na rzece Orlance, stawiając opór i paląc w Bielsku ulicę po ulicy.

Rozpoczęły się żniwa, chłopcy naszych gospodarzy kosili żyto kosami, ja z gospodynią i ciotką pomagaliśmy podbierać i robić snopki. Nasi gospodarze mieli przyszykowane potarte drewno budowlane (belki), a było ono złożone pod okapem stodoły i chlewów, bo zamierzali budować nowy dom. Widząc codziennie dymy palonych przez Niemców wsi, zabraliśmy drewno spod budynków i

⁵⁴⁹ Jerzy Romaszkan, mieszkał w Bielsku przy ul. Zamkowej.

furą rozwieźliśmy i rozrzućiliśmy po krzakach pobliskiego lasu. Dzięki temu uratowało się ono przed spalaniem.

Któregoś dnia front dotarł do naszej wsi. Wkroczył oddział żołnierzy niemieckich, którzy podpalali zabudowania, strzelając z pistoletów maszynowych pociskami zapalającymi do dachów krytych słomą, które natychmiast się zapalały. Zabijali znajdujące się w chlewach świny oraz napotkane krowy i cielęta.

Przeczuwając, że wieś może być spalona, wszystkie rzeczy, które z sobą przywieźliśmy, ubrania, pościel itp. zakopaliśmy niedaleko domu, a miejsce ukrycia zamaskowaliśmy. Wkrótce cała wieś była w płomieniach. Nasza rodzina, starszy syn p. Górskich Ignas i Adam Śpiechowicz, wszyscy zgromadziliśmy się za palącym się domem, mając torby i plecak z jedzeniem. Do naszej grupy podszedł żołnierz niemiecki z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Adam, znając język niemiecki, zaczął mu tłumaczyć, że nie chcemy zostać z sowietami i żeby pozwolił nam iść na zachód z Niemcami. Żołnierz pobieżnie przejrzał nasze torby, a Adamowi kazał zdjąć plecak i pokazać jego zawartość. Na wierzchu była osobista bielizna i przybory toaletowe, Niemiec nie zaglądał głębiej. Pozwolił nam opuścić wieś i pokazał w jakim kierunku mamy iść. Mieliśmy szczęście, a szczególnie Adam, gdyż po wyjściu za wieś powiedział nam, że na dnie plecaka miał pistolet – był żołnierzem AK. Byliśmy o krok od śmierci i szczęśliwie jej uniknęliśmy.

Szliśmy połą drogą biegnącą w kierunku zachodnim. Po przejściu około dwóch kilometrów zatrzymaliśmy się na zboczu pagórka wśród dziesiątków snopków skoszonego żyta. Na południe od nas w małym lasu brzoźowym były zabudowania gospodarcze kolonii, która jak nam powiedział Ignas, syn naszych gospodarzy, nazywała się „Maślanka”. Na prawo od nas, kilka kilometrów dalej była wieś Łubin Kościelny, z kościołem o dwóch wieżach. Zestawiliśmy snopki z kilku dziesiątków, robiąc pośrodku zamaskowane miejsce dla nas i postanowiliśmy tu przenocować. Któryś z chłopów miał karty, a że było spokojnie, zaczęliśmy grać „w oczko”. Po jakimś czasie, kilkaset metrów od nas, ustawiły się czołgi i zaczęły strzelać w kierunku Łubina. Zobaczyliśmy jak wieże kościoła się przechyliły i upadły. Myśleliśmy, że to za sprawą ostrzału z czołgów, ale później powiedziano nam, że Niemcy je wysadzili. Wieczorem czołgi przestały strzelać, a my w swym ukryciu zasnęliśmy. Wczesnym rankiem obudziły nas jakieś wołania. Okazało się, że to są żołnierze sowieccy z karnych oddziałów. Szli małymi grupami, uzbrojeni w pepesze lub pistolety zatknięte za pasem. Jeden z nich niósł główkę kapusty, którą jadł. Byliśmy bardzo zdziwieni, że Niemcy uciekali przed nimi. Dopiero później zaczęły iść zwarte oddziały, samochody i czołgi.

Wróciliśmy do wsi. Była spalona. Zostały jedynie trzy domy, jeden kryty blachą (Uchaczów) i dwa dachówką. Na ulicy i podwórkach leżały spuchnięte krowy i świny, widok był przerażający. Jeszcze tego dnia poszliśmy z Tadzikiem do Bielska, dom stryja stał, zaś nasz Niemcy spalili wraz z całym dobytkiem. Spłonęła trzecia część miasta. Dworzec kolejowy, pocztę, gimnazjum i inne budynki murowane Niemcy wysadzili w powietrze.